

„Po Beskidzie błędzą ludzie”, czyli nowa orografia

Przyjęcie za fundament tożsamości demonstrowanej wszem i wobec niechęci do dzieci pozwala, owszem, fotografować pięknie nakryty stół bez żenujących plam z keczupu i gumy do żucia, ale i pociąga za sobą poważne ryzyko wizerunkowe – pisze Wojciech Stanisławski w najnowszym felietonie z cyklu "Barwy kampanii".

Posiadanie oryginalnej tożsamości jest dziś ważniejsze niż posiadanie nowego samochodu (niechęć do samochodów, nota bene, też jako załączek tożsamości się nada). Pisząc o utopiach Stanisława Lema, zwykle wspomina się trzynastą podróż Iona Tichego i nieszczęsną planetę Pintę, która znalazła się w szponach Urzędu Irygacyjnego, co uważane jest za niezłą metaforę scentralizowanej gospodarki. Wymowny jest jednak fakt, że kosmiczne szlaki doprowadzają ostatecznie Iona do planety Panty, której mieszkańcy losowo wymieniają się co 34 godziny posadami i etatami społecznymi. Wczoraj dziecko, dziś strażak, wczoraj dziadek, dziś kasjerka – ostatecznie wszystko jest performatywnością.

Z niepokojem patrzę na tę karuzelę ról społecznych, na potrzebę „bycia kimś”, co często sprowadza się do słoniowatego rozrośnięcia dowolnej cechy, upodobania czy bolączki. Tę elephantiasis Ego wspierają producenci, nazwijmy to, galanterii tożsamościowej. Już dziś produkcja różnokolorowych flag, transparentów, przywieszek, kubków,

bransoletek, zasłon prysznicowych i smyczy, które mają wyraziście wskazywać tożsamość ich właściciela odpowiada, zdaniem niektórych badaczy, już za 17% PKB Chin, a Xi Jinping miał podobno na jednej z zamkniętych odpraw KC KPCh powiedzieć „Ludzie Zachodu sami zamówią u nas przypinki (*badges*), na które ich nadziejemy”.

Na tym festiwalu nowości, gdzie ze zmiennych takich jak odczuwany gender, doznana krzywda i wyznawane poglądy polityczne utworzyć można, zgodnie z regułami kombinatoryki, i kilka tysięcy tożsamości, jedna formacja zwraca w tych dniach uwagę: ludzie, którzy szczycą się swoją niechęcią do rodzicielstwa i tym, że nigdy mieć dzieci nie zamierzają.

Sam dylemat jest, rzecz jasna, stary jak świat, a przynajmniej jak myśl Teognisa z Megary, przypomniana w tych dniach przez Antoniego Liberę we wstrząsającym zbiorze opowiadań wydanych nakładem PIW-u. Współcześnie antynatalistów też jest pod dostatkiem: jednym bliższa jest myśl Davida Benatar, drugim Petera Zapffe, są tacy, którym przyświeca refleksja nad redukcją cierpienia w świecie i tacy, którzy racjonalnie przeliczają niedoszłych milusińskich na ślad węglowy. Są oczywiście tacy, którzy niechęć do posiadania dziecka tłumaczą w sposób jasny i przystępny informacjami o fatalnym stanie NFZ-owskiej pediatrii, a zwłaszcza psychiatrii dziecięcej: to logiczne, że skoro można by mieć dziecko, a to dziecko kiedyś, powiedzmy w marcu 2036, miałoby kłopot z dostaniem się do nefrologa albo skonsultowaniem depresji, należy natychmiast zdecydować się na histerektomię.

Nie wszyscy jednak, którzy ogłaszają światu, że nie zamierzają nigdy mieć dzieci, czynią to po lekturze esejów Julio Cabrery, nie wszyscy jak Magnus Vinding domagają się również eksterminacji dzikich zwierząt (zdaniem Vindinga, ich życie jest pasmem cierpień zakończonych agonią i postuluje on powszechną sterylizację tzw. natury). Wielu nie zastanawia się ani nad Malthusem, ani nad manicheizmem: wielu wybiera osobistą bezdzietność, ponieważ lubią poranną kawę.

Takie przynajmniej wrażenie odnieść można czytając nasze ulubione tygodniki: „Newsweek” czy „Wysokie Obcasy”. „Mam prawie 40 lat, nie mam dzieci. Koleżanki mi zazdroszczą”. A, nie, to akurat Onet publikuje list do redakcji, „Wysokie Obcasy” informują za to, że „Kobiet, które żałują macierzyństwa, jest więcej niż sądzimy”, a „Newsweek” zamieszcza portret Patrycji, która „Lubi swoje życie i nie chciałaby go oddać, by być matką czy żoną”. Mniej zatem troski o agonię bezdomnych wieloszczetów, mniej refleksji nad łzą niewinnego dziecka w duchu Dostojewskiego/Coelho, więcej elementarnej, jednostkowej satysfakcji.

Oczywiście, nie jest to nic dziwnego ani na łamach „Newsweeka”, ani w ramach cywilizacji, która przyjęła za fundament i horyzont zarazem zasadę osobistego dobrostanu. Skoro moje ciało jest moją sprawą, to z pewnością nie chcemy, by szpeciły je rozstępy: nie jestem ani tak naiwny, by karcić red. Paulinę Reiter za uczynienie z „Wysokich Obcasów” trybuny hedonizmu, ani by zastanawiać się nad *iunctim* między tą przysłowiową, tylekroć wyśmiewaną szklanką wody na starość (jak wiadomo może ją podać robot, imigrant lub pielęgniarki z belgijskiego Oupeye) a kieliszkiem dobrze schodzonego prosecco, który można już dziś zbliżyć do spragnionych ust.

Zastanawia mnie jedynie myśl, by z wyboru bezdzietności dokonanego nie w imię minimalizacji cierpienia w świecie, lecz maksymalizacji przyjemności własnej uczynić swoje godło i zawołanie. Z pewnością życie osób, które dobrowolnie zrezygnowały z posiadania dzieci, jest nieporównanie bardziej dostatnie, beztroskie i szczęśliwe. Jak wiadomo, współcześni rodzice spędzają życie przykuci do kaloryfera, wieczorami chłepcąc, jeśli dopisze im szczęście, odrobinę brudnej wody wyciśniętej ze ścierki do garów. Bezdzietność jest warunkiem tego, by podróżować, zjeść brzoskwinie czy napić się wina.

Ludzkość jest jednak w swojej masie zawistna i królowie życia – do jakich bez wątpienia zaliczyć można wszystkich bezdzietnych z wyboru – zwykle uczą się z czasem, że nadmiar ostentacji bywa szkodliwy. Tylko nowobogaccy zapalają papierosa od zrolowanego banknotu, ludzie bywali po pierwsze nie palą, a po wtóre sięgają po Ronsona z oksydowanego srebra. Tymczasem nowi bezdzietni nie tylko dzielą się swoim szczęściem na łamach „Newsweeka”, nie tylko fotografują się ze swoimi czworonożnymi psiećmi, ale perliście niczym świeżo odkorkowane prosecco zaśmiewają się z najnowszego kalamburu, jakim jest termin „bezkidka” (że bez dziecka, znaczy się) i jego liczne derywaty.

Jako pierwszy zwrócił na to uwagę nieoceniony Adam, anonimowy, lecz ceniony przez wielu felietonista Facebooka. Uczulony przezeń nadstawiłem ucha i rzeczywiście, od triumfujących bezkidów roi się również na moim mazowieckim horyzoncie. To znaczy nie tyle w demografii (tam obecni są od dawna), co w mediach, w designie i w

autodeklaracjach. Będzie ich rychło więcej, bo tygodniki opinii chętnie dają głos ofiarom najcięższego z prześladowań, a mianowicie pytania o wnuki.

W tym miejscu wypada zawiesić na moment drwinę, bo nietrudno wyobrazić sobie, jak raniące mogą być podobne pytania – tym bardziej, jeśli zadawane publicznie, tym bardziej, jeśli słyszą je osoby, dla których bezdzietność nie jest narzędziem zwiększenia swej płynności finansowej, lecz największym, jakie mogło im się zdarzyć, nieszczęściem, niezrozumiałym i nieoswojonym. Trzeba Szekspira, żeby zważyć na sprawiedliwych szalach żal z racji wygasania rodu, marzenie o wnukach, intymność starań o dziecko – ale wystarczy być redaktorem Onetu, by co kilka dni suflować wstrząsające wyznanie młodej kobiety, którą jakaś krewna OŚMIELIŁA SIĘ spytać o to, czy zamierzają z mężem mieć dzieci. Komunikat powtórzony wystarczająco często z pewnością się utrwali i już niedługo wyrażone publicznie pragnienie posiadania wnuków zostanie uwzględnione w nowej edycji Kodeksu Karnego.

Tymczasem jednak trwa festiwal euforii z, mówiąc językiem milicyjnym, niebycia rodzicem, choćby na opisanym przez wspomnianego już Adama portalu bezdzietnik.pl. Czegóż tam nie ma! Są kubki z napisem „Childfree is OK” (na metalowy kubek za 69 złoty plus wysyłka naprawdę mogą sobie pozwolić tylko bezdzietni), są pokrowce na laptop z nadrukiem „bezdzietna lambadziara” (to ostatnie, nb., to jeszcze jeden przypadek sięgnięcia po ciekawą strategię semantyczną, jaką jest „przyjęcie z dumą obelgi”. Ćwiczą to na swoich T-shirtach obywatele ciemnogrodu i obywatele gorszego sortu – ciekawe, jak powiedzie się obywatelkom lambadziarom). Najwięcej jednak jest wariacji na temat świeżo odkrytego kalamburu. Są więc bezkidki razem i osobno, jest zawołanie „Chodźmy w Bezkidy”, T-shirt

dla suchej bezkidki, i jest dla mężczyzny półgolf z napisem „bezkid wysoki”. Wokół góry, góry i góry, a w nich rozbrzmiewa śmiech z tak udanego żartu.

Liczę na to, że sklepik portalu bezdzietnik będzie rozszerzał swoją ofertę. Że pojawią się tam przewodniki po bezkidach, pokazujące, jakimi szlakami myślowymi dotrzeć można w te mgliste rejony. Że nie zabraknie koszulki z miejscem na piwny brzuch, która wychwalać będzie byt tak niepowtarzalny, jak bezkid żywiecki. A przede wszystkim, że w następstwie naprawdę dogłębnych studiów nad orografią i oronimią, czyli nazewnictwem szczytów pojawiają się koszulki dla licznych Magur, Kiczor, Łysin, a przede wszystkim dla jednej z bezkidzkich koron, czyli Babiej Góry. Na którą, jak wiadomo, wchodzi się przez Diablak.

Wojciech Stanisławski

Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego pochodzących z Funduszu Promocji Kultury



Ministerstwo Kultury
i Dziedzictwa Narodowego
